

Bohumil Jankowski

z oddalenia

Bogumił Jankowski

Z ODDALENIA

© Copyright by Bogumił Jankowski, 2000

ISBN 83-88248-70-7

Skład i druk:

**Wydawnictwo PRYMAT, Mariusz Śliwowski
15-879 Białystok, ul. Św. Rocha 10, lok 106
tel (085) 744 58 42, 0602 766 304**

Bogumił Jankowski

Z ODDALENIA

P

Rep



KSIĄŻNICA PODLASKA
im. Łukasza Górnickiego
Białystok 2000



821162.1-1

żonie mojej

Wiersze dla KAAA

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

Istnienie to niegojąca się rana
zabliźniana okładem chleba z pajęczyną – na chwilę...

jakkolwiek owoce materii i tak próchnieją niezmiennie
jedynie w zmiennych odcieniach

to przecież wówczas gdy w popiół żaru dawnego ognia
opadnie z sykiem kropla wspomnienia
szczur starego domu wznieca pyłu smugę
smagnięciem ogona
w lęku przed krzykiem

Wiele lat wcześniej zanim Cię spotkałem
ubierałem w kwiaty wizje i marzenia
z ludzką cierpliwością kształtując pragnienia
miłość i duszę

w końcu napotkałem - prosto uwierzyłem
że Ty jesteś Ona - ta z mojego serca
tak jedna i przez lata śniona
z radością i nadzieją ufnie zaproszona
w próg samotnego serca

Bezdomny
wszedłem w progi Twojego domu
aby złożyć jaśminy na Twojej twarzy
dać
jak dziecku w kołysce radość serca
nadzieję
smutek
smugę wiatru
kroplę świtu
i Imię kreślone wodnym znakiem czasu
dla wspólnej prośby-modlitwy
„chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj”
by zespolić nasze troski
w kroplach łez

Są takie chwile
kiedy niebo niesie zagładę
łamiąc kwiaty nadzieję sny

idzie

Stojąc w oku cyklonu wyblagałem złudzenie ciszy
- na chwilę

Zawirowanie nieba – piasek w oczy
kamienny deszcz
bowiem to rozdarte gniewem niebo
kpi
ma – nic nie dając

Więc zubożniały szukam przystanku
aby wsiąść na ostatni autobus
więc Ty o Kaaa po raz ostatni
usiądź przy mnie na chwilę
aby wiążąc wspólny smutek w nić babiego lata
razem czekać na tę jedną tak ulotną chwilę

aby po raz ostatni w Ciszy cisz naszych serc
usłyszeć jeszcze jeden raz
skrzyp otwierającego się Nieba

Więc proszę
przybądź na chwilę na powrót
spoza naszego zagubienia
i jak niegdyś – stań w wiśniowym sadzie
gdzie twarz Twoja
nadal przesłonięta pasmem opadających włosów – roze-
śmiana
(zarazem zasłuchana w świst szpaka w listowiu wiśni)

tam my
oddaliśmy się od siebie na moment
- na odległość wyciągniętych rąk
dotykając opuszkami palców naszych dłoni
uśmiejemy się do siebie ufni...

aż po ów goryczą zabarwiony dzień
pozostawiony w zakrzepłej od bólu pamięci
która nie przemija

więc na moment w wędrownce przez pamięć przystaję
aby powtórnie zdjąć tak obecnie niecierpliwe palce
z warg naszej miłości – białych obecnie jak śnieg
przyłoczony brzemieniem niezrozumienia –
dlaczego

nie zbiegną się więcej nasze dłonie
wokół żywiczego pnia sosny
nie spotkają ustami twarze nasze
wychylane na przemian zza drzewa – roześmiane...

słyszę jeszcze nasze kroki w pewien deszcz lata – człap
człap chlap
- szliśmy przez kałuże w smak deszczu
i radości łez

każde w swoje przeznaczenie
każde po swój ból

Powtórnie zaistnieć
kondensując w soczewce czasoprzestrzeni
jesienne deszcze i promienie lata
utrwalić obecne wspomnienie
w tak prostej modlitwie

aby Tobie na powrót śpiewały ptaki
kasztanowe gaje
 kłosy złotopszenne
kaczeńce nad stawem

aby trwała nasza pamięć
wtopiona w łąk nadbużańskich krajobraz
jak promień światła innego wymiaru
przywołanego sercem

choćby dla „kivit” czajki krążącej
nad polami z nacią ziemniaczaną
a wiatr jesieni niesie
pozostawione w płatkach róży wspomnienie

Odruch uczucia prostota serca
spojrzenie oczu zapatrzonych w siebie

ciepło wąg i splecione dłonie
w pragnieniu –

wobec prostoty zwyczajnych słów
wobec „jutra” wspólnych trosk
wrozumiałości drobnych i dużych przewinień

zbierając kasztany łuskając pestki słonecznika
wplątam nici czasu w Twoje włosy
wplątam siebie w czas by w Tobie śnić
i w nim być z Tobą do końca



Widząc jak zasypiasz –
dla smutku jutra –
zbieram gwiazdy nieba snom Twoim

Tobie – zawsze – bądź



Cisza – Twoje zmęczone dłonie
- noc nadchodzi
dotykam odprysku światła
- chwila
i w dotyku palców Twoich
zamykają się oczy moje

Nie odnajdując Ciebie dotykiem warg lub dłoni
- w przyspieszonym biciu serca
otwierasz drzwi

W kropli rosy u powieki świata
w moich snach z błękitu
w unikalnym fakcie zaistnienia
dla wspólnego budzenia świtów
Ty

Czy w zamyśleniu Twojego spojrzenia
w Twoich ranków jasnym świetle
ja?

Do końca mnie usypiając
pozostawiasz jednak iluminacje świata
i moje zamyślenia

jeżeli cierpienie jest bezsensowne
w jakim celu pamiętać?

Gdyby było normalnie – byle jak
liżąc jedynie językiem po szybie
jak poznałbym prawdę Chleba i Wina
...tragedię ludzkich łez?

Tak do końca nieukształtowani – idziemy –
Ty i ja
morza fale ślady w piasku mewa krzycząca ponad na-
mi –
i Niebo

zapytałem – czym jest miłość...
- to takie proste

wobec tego dlaczego tak obecnie trudno żyć?

Jak widzisz odnajduję w końcu własne gaworzenie
umiem utrwalić w piśmie własne powstawanie - tak
jak rysowanie po tapetach starego pokoju
składać z liter Twoje imię
świadczące istnienie bólu łez i cierpienia
w zbyt krótkim czekaniu na stwierdzenie faktu
że Twoja do mnie miłość nigdy nie istniała

No cóż - mogę łzę żalu stracić z własnych palców
- sklecić słów kilka, twardych nieporadnych
w samolubnym gniewie dotrzeć do jądra
tej zdziczałej Ziemi unosząc lawiny głazów
kilometry w górę
zbuntowany w sobie -
sobie...

Tylko... czy jest to moja droga
by uciszyć krzywdy tak Twoje jak moje...

a dokonało się

Tak niezmiernie senny - zawsze przemądrzały
śnić chcę brzozy czeremchę
księżyc w nowiu i rosę

nie zasnę

Dlaczego inny cień na twarzy
dotyka Twoich rzęs?

Ty – płkanie moje
sny niedokończone
więc w listowiu jesiennej brzozy –
smutek

Jak szybko wówczas uciekaś
poza horyzont nadziei
a ja nieudolnie
z okruchów wspomnień
flamastrem cierpienia rysuję
czysty wizerunek Twój

Nie wskreszę nadziei

Czas nie leczy ran
wysubtelnia je barwą perspektywy
trwa pamięć podłego dokonania
a ja nadal czekam
z zapytaniem w pytaniu
w oczekiwaniu na cud zaprzeczenia

Sądzimy że czas ucieka –
Bóg niesprawiedliwy
dlaczego...
pozornie w spokojnym nurcie rzeki
kamień

I pomyśleć
gdyby nie budziły mnie potwory
nocnych urojeń
powracających z uporem fatalnych zdarzeń

powiedzieć - „nie było”
a nie - „trwa nadal” – a trwa bo było

jak zdechła żaba w stawie z wzdętym podbrzuszem
kołyszą się sny moje w pomroce pamięci
i tyle mnie ukołysanego chorym wspomnieniem

liczę padłe jaskółki pozbawione wiosen
i liście rozwłózione wiatrem północnego chłodu
Twojego spojrzenia
w piekle mej pamięci

Kufel piwa – nierozłączny atrybut mojego smutku
zamglony pejzaż za szybą – zamazane wspomnienia nie
bolą

...dlaczego więc rozdygotana pamięć
jak palce

zamknięto obrotowe drzwi sceny
przed kłownem w epilogu prawdy

Na polu bitewnym Kuruksetna
w tej bitwie dobra i zła nie ja się liczę

Charyzmatyczne stygmaty otrzymują święci –
może jestem zbyt prosty aby ból zrozumieć

więc nie wiem w jakim celu
przez tak długie lata zakrzepla pamięć
w zatrzymanych wówczas wskazówkach zegara ta sama
rana
jednostajny ból

jedyne co znam to latami trwająca agonia
oraz
jak żyć od dawna nie istniejąc

Z kadru pamięci łąza Twoja
i Twoje rzęsy otwierane dla świtu –
obok moje bezdroża – trwoga wobec siebie
więc szukanie dopełnienia marzenia
- Ty

Rzeczywistość to nieprzystosowanie moje
otaczająca zewsząd CISZA
kondensująca krzyk otaczającej kalekości
a ja - „**to jedynie wierszyk pajacyka**”
- nieudany wariant ewolucji

Pomimo to nie pytając o miłość
- pozostań
na szarugę i światło dnia
bowiem moje życie to rwąca rzeka
- piargi kaskady wzburzona woda
obok Ty – spokojna toń przystani

Bądź moim światłem w dłoni
abym w czerni moich nocy
odnalazł zagubioną niegdyś gwiazdę

Czy mogą współistnieć obok
rozszałała rzeka i falujący spokojnie OCEAN
Twojej najcudowniejszej miłości
moja wyśniona Kaaa?

Taki piękny sen na pożegnanie
kiedy w kwiatach Ty – ja w rynsztoku
idziemy pomimo wspólnie drogą – idziemy?

Butelka wódki na stole –
talizman niezagojonego smutku...
mówią o mnie – idiota lub geniusz
niekiedy szkoda go
...niekiedy

Jeżeli cokolwiek jest prawdą
to nauka miłości poprzez cierpienie
tam ja

i Ty

Dzień dobry

Jeszcze Cię nie zapomniałem... więc bądź o Kaaa
w mojej szczypcie szaleństwa
gdzie obłoki nie z mgieł a kamieni
zaś chaos i fraktale – myśli moje

kurz oparzeliska ziemi
ponaglające z oddali wezwanie do zacisznej kotliny
aby w świetle księżyca doświadczyć ponownie
cudu tajemnicy serca
i nigdy nie czekać na gest pożegnania –
jak niegdyś być
przy otwieraniu Twoich oczu ze snu
w powitaniu promieni słońca
dla Twojego leniwego rozplatania włosów
w porze zmierzchu świata
w uśmiechu Twoim muskającym kwiaty
dla wspomnienia kładki przez strumień
drogi polnej i lilii w ogrodzie

i w swoich rozchlapanych butach
iść z Tobą przez cały wielki świat

Kiedy tak myślę – Ty – moje kochanie
- moje łzy i cierpienie
...przecież Twoje też

znużeni
w postoju na krótką modlitwę
milczymy oboje bo zabrakło łez

przecież nie powrócą te porywy serca
jak i rozpacz ni radość
a gorycz i ból

przecież nie tylko

jednak pozostało to
co przetrwać chciało w nas
pomimo zwątpienia
tak bolesnych rozstań
trwa tak ludzkie zwykłe miłowanie
w ciepłe naszych snów

* * *

Dopełniając przeznaczenie stajemy naprzeciw siebie
świadomi ufności Abła jak i zła Kaina
odpłacamy judaszowskim pocałunkiem

nim go nie otrzymałem nie wierzyłem
że to Ty ja my oni
dosiadamy koni Apokalipsy

Z oddalenia

Oglądacie mnie jak eksponat
w zdziwieniu
jak gdybym był białym nosorożcem
powracającym na lodowej krze
z czwartej epoki zlodowacenia

jakkolwiek jestem wam podobny
w niedoprasowanych spodniach czerwonych skarpetach

tyle że idę pod prąd waszych poczynań – ja
dziecko Argocarty z baśni Sadagory
w jeszcze jeden zachód słońca
po zapach macierzanki
i jakkolwiek Ziemia wiruje wokół własnej osi
zbieram swój połamany kręgosłup w chustę –
tę w barwach tęczy od matki –
trzymając ją na kolanach
siadam pod jesionem dziadka Józefa
aby przemyśleć
czy nauczyłem się
przynajmniej pierwszych kroków

W chwili obecnej zdałem się jedynie na Boga
obojętny
wobec własnych przywar odcisków i buntu
szarż Bucefala na papierowe wiatraki
czuję ból w wykręconej kostce
łzawiące oczy dawno zatraciły szlak

a pomimo że topnieją szeregi tych
co kroczyli wraz ze mną
rozłupuję kamieniem małże na plaży
zuchwa pracuje mi nieustannie

- zarośnięty nagi wyluskany z miocenu
w tych samych promieniach zachodzącego słońca
odwiecznych bryzgów fal morza
obojętny wam
nieobecny dla świata
chcę przetrwać jeszcze jeden dzień
dla nocy by śnić

że w końcu dorostłem



Pomimo to
powracam z minionej epoki ja – dinozaur obecnego czasu
stający się dla własnych dzieci
jedynie twarzą z wyblakłej fotografii
- epizodem zaistnienia z kontekstem...

jednak nadal przędę los
z garbem wyobraźni ukształtowanej w zamierzonym cyklu
dokąd powracam po promień światła
najjaśniejszej gwiazdy północnego nieba

gdy obok biegnie Funio – ten radosny psiak
gnijący gdzieś na oponie samochodu...

ale to zawsze był głupi przylep

Wbrew sobie wyzbyłem się nadziei – ja
bezzradny świadek
spoglądam jak ponura rzeka piętrzy fale
w smugach błyskawic spopielatego nieba

a stojąc w skłębionym wietrze
obojętnie spoglądam
jakkolwiek niegdyś – jeszcze tak niedawno
jak rzeka kipiący gniewem
osamotniony w swoim pragnieniu
dotarcia do brzegów mgławicy Andromedy
by dopełnić spełnienie siebie...

To dlatego obojętna przyszłość?

Popatrz – idziemy tam
- chryzantemy na straganie
kot tej ulicy nie zdążył przed snem
przy cmentarzu stary człowiek i ja

- czekamy

Krzyk dzikich gęsi na szlaku nieba –
ich lot po świt innego brzegu... tu –
marzenie róży o kroplę rosy związłe w prostocie chwili
tak niedoskonałej wobec zmęczenia wędrówką
po nieskończonej płaszczyźnie Pustyni
utożsamianej z Bogiem – nie tylko Eckharda

Istnieniu obecnie nie wystarcza istota doskonałości
a precyzja roboto-człowieka
więc jakie znaczenie mają intencje dobre czy złe
czyiny mierne lub wzniosłe...

W obecnej wyrodniejącej rzeczywistości
pozostaje jedynie pajęczy ślizg
po lepkiej nici ewolucyjnego istnienia
i gorycz

stąd nagłe zdziwienie –
dlaczego nadal potrafią cieszyć
krople deszczu na twarzy?

Na powrót to zawirowanie nadchodzi
pozbawione dźwięku gestu myśli
kołuje w kwadratowej przestrzeni pokoju
jak padlinożerny kondor nad Andami
- czeka aby dopaść
w szeleście skrzydeł Nietoperza
i jego bezdźwięczny gryf – sen mój niespokojny
w oczekiwaniu na ponowne zmartwychwstanie mirażu
- łagodnego pejzażu rzeki obłoków
i nieba młodości
wówczas jak obecnie zanurzając palce
w wody wolnym nurcie
dotykałem wieczności swego przemijania
tylko czas niewspółmierny
jak pamięć
jak smutek

Prawdę mówiąc – uśmiecham się słuchając własnych
myśli
powodowanych nastrojem – potrzebą dopełnienia siebie
- nazbyt nieudolny by cokolwiek zmienić

więc jedynie w rozpryskach snów wrywki niespełnio-
nych pragnień
marzeń niepokornych i woli działania
wyśnić lepszy świat...

Nie może być inaczej przecież taki bieg
jakkolwiek nie Czasu – on nie umie biec

to my przepływamy dla tak krótkiej chwili
zagubienie w tym wzburzonym Oceanie

po CISZĘ

Są, niekiedy chwile – mój Boże mój Panie
- Ty jeden rozgrzeszysz czas buntu -
kiedy w rozpaczę pięścią łzy rozciskam
chcę krzyczeć
- nie mogę –

Bunt szaleństwa i gniewu – każdy kamień rani
i rozwieram palce aby niebo zdławić

bezwolny w swoim zagubieniu
pytam siebie – On Bogiem słabych?

Więc dlaczego – ci najbardziej dumni
zawsze niepokorni
dopiero w Tobie znajdują
prawdę DROGI?

To jeszcze jedna prosta kompozycja
światła i czerni zaistniała w chwili
gdy w ogrodzie Eden posadzono drzewo

lecz nie dlatego spożywam tak prawdziwy owoc
słuchając Ciebie równie jak Szatana
układam mozaikę logicznych odpowiedzi
w pokoju tonowanych tapet

w ciszy

trwa życie wiekuistego poczęcia
w dźwięku deszczowych kropeł w monotonii chwili
tak niepodobnej innym w skutku
trwa
moja samotność i brak zrozumienia

powierzchny tak ludzki osąd
stałe odrzucanie za ludzkie potknięcia

a przecież
to co boli Boga przecież i mnie boli
w swoim nieustannym krnąbrnym powstawaniu

przynajmniej Ty bądź cierpliwy
poczekaj gdy inni odeszli –
tylko nałożę buty na swą dalszą drogę
wezmę Cię pod rękę – uwierz –
doprowadzę przynajmniej Ciebie do m o j e g o nieba
tam czeka na stole prosta kromka chleba

Sen umyka od powiek po początek świtu
dla ziemi rosy i pieśni –
„życie trwa na wieki
bądź pochwalon Boże
i wiem że każda kropla łzą w obliczu Pana
a... radości czy smutku

- i tak to moja droga

Nie potrafię się modlić jak mnie nauczono –
„Ojcze nasz który jesteś w niebie”
a przemawiam sercem

Panie mój
Boże nadziei raka gwałtów i przemocy
cierpień Twoich i ludzkich
wspólnej rozpacz i łez
Stwórco kwazarów galaktyk chaosu
Nauczycielu Miłosierdzia – CELU

Nigdy nie cierpiałem nazbyt pokornych
drżących bojaźnią a nie Miłością

Jedynie w lęku o własną duszę
Tobie pokłon i modlitwa
a nie przyjmują wiekuistej prawdy
gdy prosisz pokornie o jałmużnę
u drzwi Kościoła

Spokojnie spokojnie – bez szalonych nerwów
przejsć przez kałuże kurz tej D r o g i
oparzeliska i zgorzel
a trzymając wiatr w dłoniach –
w nim i z nim biec
aby uchwycić kroplę radosnego deszczu
Twoim niewyrośniętym snom
o mojej do Ciebie miłości Boże

Dla mnie Bóg naprawdę zmarł w Jeruzalem
a pomimo to kona każdego dnia
więc co mam uczynić...
jak wykreślić rzeczywisty do bólu stan

dla mojego smutku pozostaje
enklawa naiwnej wiary
rozpaczliwe osobiste Westerplatte
- reduta obrony przed sobą samym
samemu sobie
by nie zgnić

Zbudowani powierzchownością struktur
zbyt siebie nieświadomi
dotykamy tajemnicy –

na jakiej podstawie osądzamy
dotykając czyjegoś cierpienia
ran...

- bądź ze mną

Córce

Pamiętam jak śniłaś sny niewydarzone
jak mowa nieporadne
lub myśli pełne niedomówień
wobec budzącego się świtu młodego spojrzenia
brzemienne w zwątpienie i ufną nadzieję

jeszcze nie wiedziałaś
że zbierając kaczeńce buszując w trawie
jesteś odwiecznym pragnieniem Boga
by stać się dla innych – s o b ą

Synowi

W imię spowiedzi sumienia
wobec własnego serca
w cierpieniu
smutku lat

kropla wody tańcząca u wylotu kranu
podeptane kwiaty

dnie godziny – czas

pozostała jedynie moja nadwrażliwość i choroba
- kompozycja światła i błota - niedostosowanie

Smuga palącej się świecy
w mroku pokoju przed wizerunkiem Korony
jest prosta jak modlitwa moja
za Twoje życie

Tak sobie

Podobnie jak moje marzenia – bóg Kon-Tiki wypłynął
na zachód – do krainy Słońca

płynęli tratwami z balsy – drzew peruwiańskiej dżungli
snuli się burzą mgłą i wiatrem
w piekło własnych marzeń

Dopłynęli daleko – do wysp Oceanii
Tam sny z kokosowymi palmami

Słońce do którego dążyli
nadal za widnokresem

Jakże byłem szczęśliwy
jeszcze sepleniąc przez dziury po mlecznych zębach
boso idąc obok Ciebie
trzymając w swojej dłoni Twoją
Mamo

trzymałem miłość

Kiedy byłem mały księżyc biegł
- ja za nim
noc i ćma siadły na policzku
a w sercu dobrotliwy uśmiech Boga

Tamtej nocy ciernie wbijały się w palce
wokół drzewa i krzewy
moje kroki... kto je zliczy
młody i głupi
pospiesznie szedłem w życie
mgła była gdy przystanąłem

nad jeziorem nocy zwidów omamów
nagła smuga powietrza spod skrzydeł rybitwy
przy brzegu martwa ryba unoszona falą

i stałem długo po kolana w wodzie
poszum trzciny nie uciszał myśli

teraz mi powiadacie – chłopie –
wódkę pijemy za życie – Bóg z nami

Ja zaś tamtej nocy dotknąłem
tak wymownej jak prostej
wiekuistej prawdy życia jak i zaprzeczenia
na nieskończonym trakcie po wstędze Möbiusa

tak idę
idziemy
niezmiennie powracając – ci sami
jednak przemienieni

Spoglądał na mnie uważnie...

- powiesz o mnie ten głupiec chodzący nie tak dawno
z nie zawsze dopiętym rozporkiem chce zrozumieć Boga?

trafić nie umiał często do kościoła

ni kluczem w zamek od drzwi

- pijany

do czasu

gdy w mojej klinicznej śmierci dostałem wglądu

w oazę prawdy – tam mój ojciec

podszedł do mnie w tej cudownej krainie spokoju

z nakazem Boga – WRÓĆ

W sadzie w którym drzewko konarami
sięgało nieba
byłeś i ty przyjacielu
ja znając jego przeznaczenie płakałem
wtulając swój głupi łeb w rozwidlenie
- szukałem prawdy

Uśmiechałeś się mówiąc
- dlaczego Boga szukasz w tym drzewie
podobnie jak ja będącym odpryskiem Czasu?

Po raz ostatni piliśmy ogłupiające wino
księżyc przylepił się do dna butelki
jak mój smutek
jak twoja śmierć

Powraca do mnie w swojej rzeczywistej prawdzie
- utrwalony obecnie cień somnambulika w kro-
kach

nienaturalnie długich
przeklętych w swojej wędrówce donikąd
rys jego sylwetki zaklęty
w pomyłkę ewolucji
trwa bezszelestnie dla bólu świata

zaistniał
równie boleśnie jak groza sumienia
Natury i Boga
w smutku Człowieka

Wydaje się że pojąłem –
kastaniety dzwonią – on w kole
ta sama od lat rytmika taniec kroki
wytracone – wypchnięty
już poza okręgiem gdzie inny rytm
płás – kroki pogubione

w dawnej stabilizycji albatros – teraz
pokórcz spopielaty
siorbiący łyżeczką herbacianą wodę
pograża się w lęk własnej schizofrenii
i tonie

i tonie

Tak długo istnieję jedynie w pytaniu -
mozolnie analizując chaos
superstrun istnienie -

nadal czekam

nie istotne - przyszedłem by odejść
w stałym przemijaniu
a odpowiedź -
czy jako paradygmat trwałych poszukiwań
tak Natury jak Boga
czy przyjmując solipsyzm jako skrajną wiarę

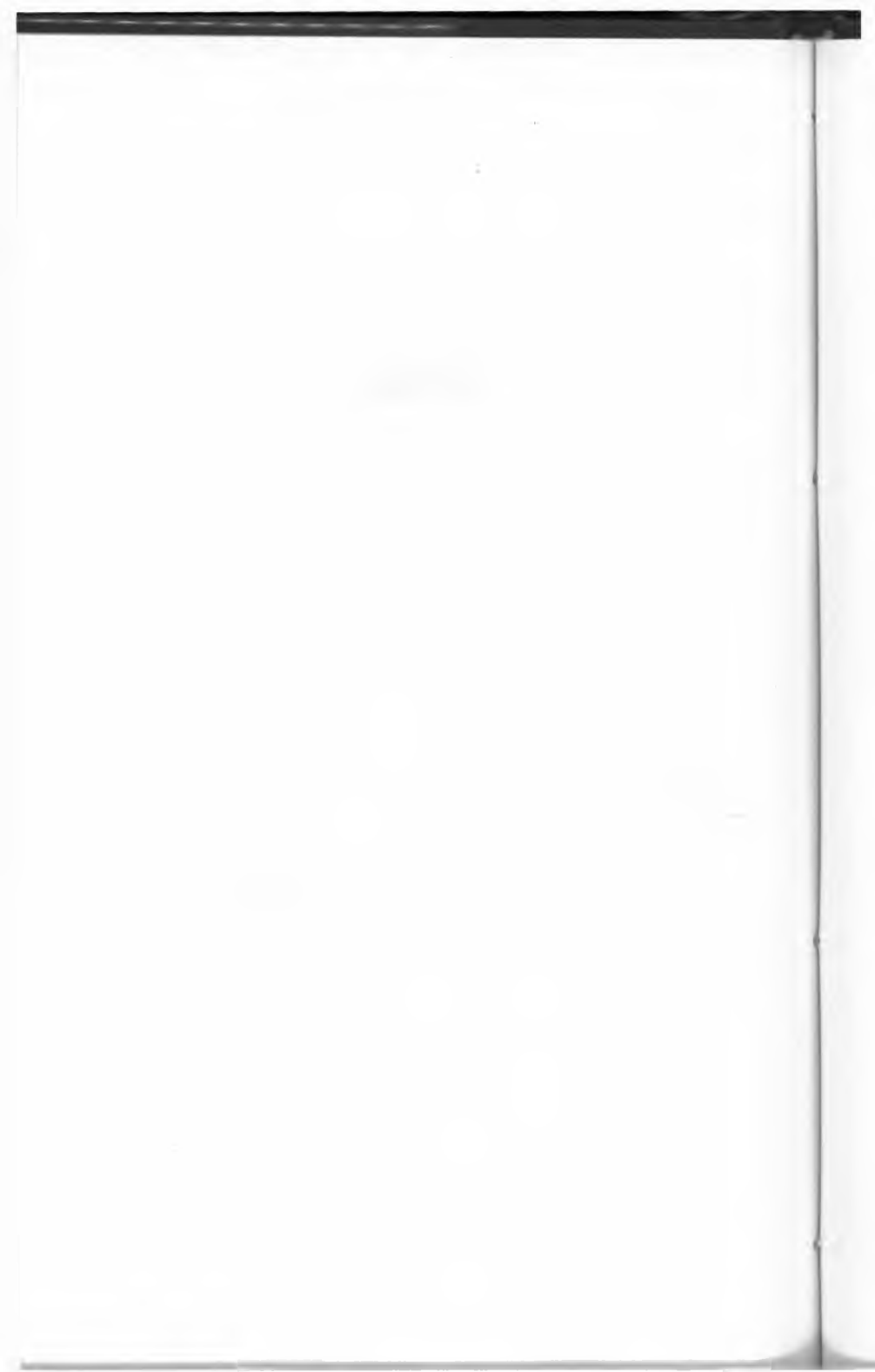
ja również samotny jak Bóg -

nie wiem

Wiem - jak niewiele zabiorę
z prawd mi objawionych
nie niwelujących
a potęgujących moje wątpliwości

więc pozwól mi Panie bym w chwili odejścia
zatrzymał przy sobie
tę gorzycz nadziei
i wiarę

Sobie



* * *

W tej chwili niepokoju
schizofrenia Kierkegaarda
obłąd Nitschego
wokół Martwe Morze

W Pustyni Eckharda
zbędny dotyk lotosu

gdy trwa nieskończoność błędu
pierwotnego skażenia grzechem -
wypadkowej mutacyjnych przeobrażeń

tylko ewolucja grzebie w starej rupieciarni
niewyobrażalnej Wiedzy
jak paradygmat przyjmując
wysublimowaną mentalność modliszki

tylko los
ponad siły

* * *

Bezsensowne to klękanie w kościołach
gdy odruch serca obciętym uchem van Gogha
a hipokryzją pamięć miłości -

tylko dotyk sumienia
boli jak spierzchnięte wargi
w poplątany krwioobieg istnienia
w kolapsie ewolucyjnego procesu
rozwoju świadomości

Egoizm
pomnikiem historii -
tylko on na piedestale
koślawych klocków naszej wieży Babel

i w strukturach chaosu
samotna superstruna
bolesnej C i s z y

* * *

W lepkiej kropli szaleństwa - uwiązany
do alei cieni gdzie czern i biel -
jak motyl szary ślepo bijący w szkło naczynia
- zawsze bezimienny choć krzyczący w tłumie
ów kuternoga w obwisłych spodniach
siedzi na ławce zielonego parku
gdzie drzew cienie kalectwo tonują
- tylko ruchy nerwowe - paląc papierosa połyka dym
raz za razem
od ust nie odejmuje
i krztusi się nim - zwisa mu sznurówka z lewego pantofla
podryguje
w takt pleców drgających spazmatycznie

Przed nim biała kartka luźno położona na wychudłych
udach
na niej plamki na rogach mazakiem znaczone
skąd prowadzi linię
na ukos równie krzywo znojnie
jak linia błędu świata
jak jego kłamstwo mirażu
albo prawdy życia

Wokół tak piękny półcień parku zielone listowie
cisza i niebo - cały świat w zachwycie
jedynie on zadrą i zakałą chwili

Ten świat zbyt kaleki w swojej rozrzutności
niezawinionego grzechu bólu i pomyłek
prawdziwy jedynie w cierpieniu

i nie wiem czy każdy krzyż jest skażony
i takim błędem natury
jak ludzkie dotknięcie sumienia...
jak jego rozdarcie

* * *

Twarz dziecka z ekranu telewizora - chudość
podkreślają oczy-ogromne wyzbyte rozpacz
- obok syta reporterka udaje zdziwienie i skruczę
- miliony gapiów i on -
umierający z głodu Etiopczyk

wy mi nie mówcie o miłosierdziu -
ta twarz dziecka konającego w obojętności świata
powiedziała mi więcej o człowieku
aniżeli „Pismo święte” i „Ewolucja gatunków”

może gdzieś zawieruszony dla świata
Albert Schweitzer

Nie płaczę nad tragizmem ludzkim - dziecka i moim
nie pytam „gdzie jest Bóg” ale - „gdzie ja jestem”
czy sprzedaję wodę z ich pustynnej rzeki
wiecznie spragnionym za lisie srebrniki
czy jako uzurpator łaski i rozgrzeszenia
własnego sumienia - zbyt niespokojnego
daję na tacę ofiarną złotówkę
sytym nie ubogim - nie w pragnieniu Boga -
to chwyt hipokryzji tuszowanych powiek
dlatego
w braku sumienia trwa ten świat bez Boga

To moje proste myśli - ich zawirowania
podobne rzece przestrzennej niknącej w dali
tam równie tej samej a przeobrażonej -
rozlanej szeroko -
podtapiając łąki o barwnej zieleni lub jak myśl
strzelista rwąca i szalona pieniaąca nurtem
gniewa
jak obecna chwila mych pytań do Boga

Pytając sercem odpowiadam sercem sam sobie o sobie
umykając skali błędu - zawsze niepokorny

- jak ma się Imię Twoje do imienia Saud - dziecka
pasterzy - czy jakiegokolwiek - konającego
na ziemi tak ludzkiej jak Twojej?

ja nie czekam cudu że powstanie z martwych
jedynie pragnę w swojej naiwności
najprościej jak umiem że j e s t e ś

tuż obok
trzymając w dłoni jego drobną duszę
podobnie cierpiący jak w ó w c z a s na Krzyżu
mówiąc - „i odpuść im winy bo nie wiedzą co czynią”
i tak chciałbym uwierzyć
że to dziecko
jest dzieckiem rozpacz i Twojej
cierpienia drogowskazem do serc i sumienia
i jakkolwiek ja - człowiek krytykować mogę
drastyczną pokorę poprzez zwątpienie

uwierz - jak trudno
w dorastaniu wiary być
w każdej łzie w samotności w cierpieniu...
przecież to mało -
rozgrzeszać się wzruszeniem mijającą chwilą

i tak niewiele w mojej gestii
co chciałbym zmienić

więc pozwól

niech pozostanę z Twoim smutkiem

jak Ty

w nadziei

* * *

Po prostu zmęczenie - ta sama twarz w lustrze
odkąd się pamiętam - tyle że obecnie
pozbawiona pragnienia dziewiczego rejsu dookoła świata
postawienia stopy w Andach
wertowania ruin Marcahuasi - tej pamięci czasu
chwilowego trwania w całopalnej ofierze istnień

nie dla moich zmarszczek ani kurzu lustra

przyniesiony z lasu - pająk mi na kołnierz włazi
powoli z namysłem przestawia swe nogi -
spłoszony kuli się w sobie
zamiera i czeka

mnie jak i jemu czas nieistotny
zabytkowy zegar dawno temu stanął w zapomnianej chwili
ja klonowe liście zbieram znów na drodze
po to aby ta chwila w wieczności została
bez określenia 'nigdy'

Symbolika marzeń słów i wypowiedzi
niczego nie zmieni - jedynie odbiór inny
inny dźwięk w napiętej jak ścięta ciszy
poza obramowaniem lustra za granicą świata
ostatnie skupiska gwiazd - to początek
zaledwie i zawsze... i zawsze bez końca
szedłbym ubierając wszechświat w bukiety konwalii
maciejkę rozsypał po szerokim niebie - w ich zapachu
szedłbym i szedł
jak zawsze do Ciebie
podobnie do mnie podążasz uparcie
jak Ty z nadzieją
tak ja z wiarą

* * *

Szukałem zawsze
i zawsze po omacku - ot
kuglarz wędrowny z tobołkiem na plecach
w miraż zapatrzony
nikt mnie nie uczył jak żyć
aby w potrzebie nie być oszukanym

Ja prosty samouk ufny więc głupawy
dawałem się nabierać zawsze popychany

uciekałem do wspomnień by w ich pięknej chwili
ze wzgórza spoglądać na konie -
dzikie rozpędzone
porywające swobodą pięknem linii
kształtu
wyzywania losu

a obok niedaleko
tu w sosnowym lesie cisza
i półmrok posuchy w szeleście igliwia
- szybciej noc nadchodzi

z niepokoju duszy w spokój wyciszenia
w nowe zamyślenie
bez chwili spokoju
jak zwykle niepewny
czy świat przeze mnie przemierzany
to pejzaże Constabla
czy moja rzeźba z kamienia
cierniowej korony

* * *

Tak dobrze odpocząć na pobrzeżu drogi
w cieniu wierzby z dziuplą z witkami do płaczu
i upleść pieśń z wiatru dla wieczornej ciszy
- wynucić...

na tę chwilę to dobrze że nadal bezdomny
zapomniany przez innych

przecież nadal w stałym nawarstwianiu buntu
nietrafnych poczynań

czekam

* * *

W obecnym zwątpieniu pytam - dlaczego
otrzymuje więcej bólu
rozterek zwątpienia
- w Twoim zamierzeniu - ja?

Możliwe że doświadczam więcej bo więcej głupoty
naiwnego osądu tego niechcianego świata we mnie
jak w innych

i podejrzewam że jestem toporny
dla Twojej nauki - zbyt nieokrzesany
niezmiennie wąpiący półślepy samouk
niewidomy w czasie przestrzeni umyśle
bezzradny w plątaninie zdarzeń
zdany na siebie...

Dobrze na nich popatrzeć -
żona dzieci wnuki... z daleka

po co im kaleka nazbyt połamany...
wymuszać dobrą minę
suchy okrucz serca...

Ja od nikogo nic nie chcę -
nieba rysuję pejzaże na własny użytek
tak żywe
prawdziwe jak mój smutek -
trwam -
im zbędny zapomniany
jak w skansenie żuraw studzienny
przypisany nie tyle innej epoce
co treści

Spoglądam w niebo - tam
ptaki jesieni ciągnące za sobą pamięć
wędrują do wysnionej ziemi
która im tworzy nowe barwne krajobrazy

w swój los wplątani nieświadomi upadku
z jasnej wysokości
unoszą na wietrznych prądach własne przeznaczenie
kołują nad każdym miejscem związanym pamięcią
jak klamrą łańcucha

sobą zniewoleni
nieświadomi że trwają jedynie dla własnego końca
przecież na tę c h w i l ę lotu piękni

w nadziei

* * *

Tak koślawo tworzę własny krzyk lub śmiech
wysłuchuję opowieści definicji baśni
- dopowiadam zmieniam treść
nazbyt nieudolny aby zmienić siebie

więc na powrót staję w przedsionku domu
który nie istnieje
niepewny jak debiutujący na scenie widz
- by wejść w zamieć
tak mamiących struktur infantylnych wzruszeń
dziecięcych tragedii
lub dotykać zegara w szklanej osłonie
uczepiony wahadła - w jego amplitudzie

zmienny w ocenach faktów
w rozwianiu nastrojów
nadal słyszę...

„...ten pociąg tak pędzi
i goni i goni do świtu

przez noc przez noc przez noc

bez trwogi
i dzwoni i dzwoni i dzwoni w stukocie kół
i mija przemija osady i sioła

przez noc przez noc przez noc...”

Szkoda
że obecnie to nie ta rytmika
inny całkiem czas

wspomnienie

* * *

kiedy pomieszało mi rozum - nie na moją prośbę
- ośmieszono duszę naiwne marzenia -
zawisnąłem na stalowej lince
więc dopadły mnie tańczące zjawy - nagie kobiety
w kadzidlany dymie i ich muzyka
taka smutna i tkliwa
jak sam dotyk śmierci

one kołysząc biodrami
podchodziły tanecznie w długim korowodzie
uśmiechały powabnie i kłaniały nisko -
chodź do nas no
chodź...
lub przepływały ulotnie w krainie
mojego szaleństwa
jak i powolnego dusznego konania

wierzganie moich nóg - im rytmem muzyki
wirowały wciąż szybciej zachłannie się tuląc

byłem im powolny
jednak
coś nie pasowało w tajemniczym niebie
przypadkowy człowiek odjął mnie od sznura...
czy szkoda?

być może niepotrzebnie chodzę
... może lepiej było mi pozostać
i trwać nieistotny ludziom ani Bogu
przecież
na pozór w prostej logice przymusu
jestem

jakkolwiek umarłem wówczas
z krzyżem na podłodze zdeptanym nogami

za kłamliwą wiarę
za brak rozgrzeszenia

Wtedy i obecnie słyszę - „czubek co mrzonkami żyje”
gdy ja obsesyjnie pragnąłem i pragnę
świata prawdy
nie gnoju szachrajstwa przewrotnego kłamstwa

i nie wierzą że ja wówczas wstąpiłem do piekła
własnej transformacji i trwam bo muszę
w rzeczywistości przeze mnie niechcianej
a przecież niezbędnej
aby certyfikat zdobyć do własnego raj

* * *

W tej burzy widziałem kota tańczącego w wicherze -
rysował pazurami smugi pieśni sawann i stepów rozległych
mieniącej się barwą czerni i bieli - w pieśni świata

o ciernistej drodze tych którzy polegli
w bitwie o siebie - z sobą

jak podniebne albatrosy - pigmenty nieba
niezbędne by zaistnieć dla prawdy spojrzenia
dla uroku piękna
marzenia
aby wznieść się do prastarych szlaków
do nieba ludzkich pragnień u tronu Betelquesy

istnieć nie jak płaszczka denna
w Rowie Mariańskim do dna oceanu przywarta

...

dobro przecież radosne - roztańczmy świat cały
nawet następując na palce albo myląc kroki

nie istotne
że nikt nie prosi do białego walca
- tańczymy
w prostocie świata

bo widziałem ruiny ludzkich uczuć
zgliszcza nadziei - wraz z przegranymi odtańczyłem
menueta na falach rzeki Styks -
upijając się tanim winem i białą wódką
obnażałem własną duszę wówczas -
słaniałem się na nogach w nędzę stworzenia

więc teraz grajcie -
niech wstanie nowy dzień
a po burzy spokój
- zatańczę



Wiersze Bogumiła Jankowskiego zainteresowały

mnie specyfiką myślenia, sposobem obrazowania i tematyką. Zauważyłem, że ułożone w cztery działy są swojego rodzaju spojrzeniem z oddali na przeszłość. Stąd wziął się zresztą tytuł drugiej części, jak też samej książki: „Z oddalenia”. Jest to spojrzenie połączone z oceną teraźniejszości pozbawionej nadziei, obojętnej na przyszłość. Autor marzy o krainie Słońca”, zastanawia się nad istnieniem, nad jego sensem i konstataje: „istnieniu obecnie nie wystarcza istota doskonałości / a precyzja roboto-człowieka /.../ w obecnej wyrodniejącej rzeczywistości/ pozostaje jedynie pajęczy ślizg / po lepszej nici ewolucyjnego istnienia / i gorycz”. Gorycz także wypływa z nocnych urojeń „twojego spojrzenia / w piekle mej pamięci”. Walka z nimi to walka z wiatrakami. Pojawia się więc chandra „pozbawiona dźwięku gestu myśli”, spada jak nietoperz. Trzeba więc kufel piwa do zamazania wspomnień. A później jeszcze usprawiedliwić własne serce, własny smutek – niedostosowaniem. „Smuga palącej się świecy /.../ jest prosta jak modlitwa moja / za twoje życie synu”.

W wierszach Bogumiła Jankowskiego są rany i jest czas, ale czas nie leczy tych ran, Pamięć trwa, rodzi zamyślenie, które przeradza się w swoistą modlitwę. I jest to już trzecia część książki. Autor stwierdza tu: „Nie potrafię się modlić jak mnie nauczono /.../ przemawiam sercem”. Jedyne w lęku o własną duszę / Tobie pokłon i modlitwa / gdy prosisz pokornie o trochę Serca / u progu Swojego Domu”. Bogumił Jankowski nie zawsze jest pokorny w swej modlitwie, także buntuje się: „pytam siebie – On jest Bogiem słabych? /.../ Tylko dłaczego – ci najbardziej dumni / nigdy pokorni / dopiero w Tobie znajdują / prawdę DROGI?”

B. Jankowski uśmiecha się niekiedy „słuchając własnych myśli” Wie, że świata nie zmieni, a o zmianie śni. „- powiesz o mnie – ten głupiec chodzący” ale nie wiesz, że / w mojej klinicznej śmierci dostąpiłem wglądu / w oazę praw-

dy – tam gdzie mój ojciec / podszedł do mnie w tej cudownej
krajnie / z nakazem Boga – WRÓĆ” i w innym wierszu: „Dla
mnie Bóg naprawdę zmarł w Jeruzalem / a pomimo to kona
każdego dnia / więc co mam uczynić /.../ jak wykreślić rze-
czywisty aż do bólu stan”. Trochę dalej w innym wierszu
opowiada: „Spokojnie spokojnie – bez szalonych nerwów /.../
o mojej do Ciebie miłości Boże”.

Najbardziej obszerny dział „Wiersze dla Kaaa” mógł-
by być odrębną książką. Są w nim piękne liryki, swego rodza-
ju dzieje miłości. Rodzące się uczucie, spełnienie, pojawiają-
cy się smutek, refleksja, znaki zapytań i odchodzenie po wy-
znaniu „głupia byłam”. Jeszcze Cię nie zapomniałem... więc
bądź o Kaaa / w mojej szczypcie szaleństwa” – marzy boha-
ter, przypomina sobie „ciepło warg i splecione dłonie”, marzy
o tym, by „być z Tobą do końca”. Gdzieś tam tkwi w nim py-
tanie ”Czy mogę współistnieć obok / rozszalała rzeka i falują-
cy spokojnie OCEAN / Twojej najcudowniejszej miłości /
moja wyśniona Kaaa?”. „Ty o Kaaa po raz ostatni usiądź przy
mnie na chwilę / aby wiążąc wspólny smutek w nić babiego
lata / razem czekać na tę jedną tak ulotną chwilę /.../ aby po
raz ostatni w Ciszy cisz naszych serc / usłyszeć jeszcze jeden
jedyny raz / skrzyp otwierającego się Nieba”.

Cykl ten jest też swojego rodzaju rozliczeniem się z
miłością, która była, a jej nie ma. „...Twoja do mnie miłość
przecież nie istniała”, „-Boże proszę jedynie o miłość/ niech
jej dłoń nie opuszcza mojej dłoni / na dobre i na złe /.../ w
zamian oddam duszę / Tobie i Jej /.../ Dlaczego Panie mój
Tyle lat / istnieję bez duszy / bez Jej dłoni...”.

Wiersze B. Jankowskiego są godne druku i warte prze-
czytania. Przyznam się szczerze, że czytanie ich sprawiło mi
przyjemność.

Eugeniusz Sulborski

Kilka zdań o poezji Bogumiła Jankowskiego

Zaiste, zadziwiająca jest droga Bogumiła Jankowskiego do urzeczywistnienia wydania pierwszej książki. Przez lata wiersze odnajdywały swoje miejsce z rzadka w publikacjach prasowych, przy życzliwym wsparciu m.in.. Wiesława Kazaneckiego, który dostrzegwał w tej twórczości niebywałą wrażliwość, pozwalającą wierzyć, że książki Jankowskiego ucieszą kiedyś wielbicieli poezji. Aliści stało się inaczej. Mijały lata a „pokora poety” nie pozwalała na smakowanie pierwszego tomu wierszy. I dopiero rok 2000 i kończący się wiek, został przez poetę uhonorowany zbiorem poetyckim, jakby na przekór bolesnym retorsjom mijającego wieku. Wrażliwość poetycka została wreszcie ukazana i niebywała sprawność językowa sięgająca głęboko i ze znanstwem w kulturowe pejzaże. Być może trzeba było dystansu czasowego, żeby szanując słowo poetyckie, ukazać je dojrzałym i pełnym. Zapewne „smuga cienia” pozwala w pełni zakosztować świata i dar ten ukazać wyraziście i w pełni. I odwaga, która winna być podstawowym przymiotem poety, ukazuje siebie i poruszenia wrażliwego wnętrza, w pełni, bez zbędnych koturnów i poetyckich umizgów. A wtedy pozostaje poecie najpiękniejsza rola do spełnienia, a mianowicie pokazanie umiłowania świata. I tą niczym nieskietznaną miłością otoczony jest świat poetycki Bogumiła Jankowskiego.

Eden, do którego powracamy z wygnania przyjmuje nas z bagażem doświadczeń życiowych, bogatych w miłowanie czasu minionego i dni darowanych. Nie jest to jednak testament a otwarcie się na życie, w porządku rzeczy - do którego prowadzi tęsknota i spełnienie.

(...)

W prezentowanym tomie wierszy nie ma miejsca na poetyckie mody a twórczość Jankowskiego, trudna do zaszu-

śladowania, nie znaczone jest piętnem czasu. To serce i wrażliwość z nim związana, nakazuje poecie być „osobnym”, bez klakerskich okrzyków zadziwienia (pełna uczciwości, przede wszystkim wobec siebie samego), zmierza ku spełnieniu. A czegoż więcej można oczekiwać od poety?

(...)

*fragment recenzji
Jana Leończuka*



Spis treści

Wiersze dla KAAA 7

- *** (Istnienie to niegojąca się rana) 9
- *** (Wiele lat wcześniej zanim cię spotkałem) 10
- *** (Bezdomny) 11
- *** (Są takie chwile) 12
- *** (Pamiętam trakt szosy od Roszarni) 13
- *** (Więc proszę) 14
- *** (Powtórnie zaistnieć) 16
- *** (Odruch uczucia prostota serca) 17
- *** (Widząc jak zasypiasz) 18
- *** (Cisza – Twoje zmęczone dłonie) 19
- *** (Nie odnajdując Ciebie) 20
- *** (W kropli rosy u powieki świata) 21
- *** (Do końca mnie usypiając) 22
- *** (Gdyby było normalnie – byle jak) 23
- *** (Tak do końca nieukształtowani – idziemy) 24
- *** (Jak widzisz odnajduję) 25
- *** (Tak niezmiernie senny) 26
- *** (Ty – płkanie moje) 27
- *** (Jak szybko wówczas uciekłaś) 28
- *** (Czas nie leczy ran) 29
- *** (Sądźmy że czas ucieka) 30
- *** (I pomyśleć) 31
- *** (Kufel piwa) 32
- *** (Na polu bitewnym Kuruksetna) 33
- *** (Z kadru pamięci łąza Twoja) 34
- *** (Taki piękny sen na pożegnanie) 35
- *** (Jeszcze Cię nie zapomniałem) 36
- *** (Kiedy tak myślę – Ty – moje kochanie) 37
- *** (Dopełniając przeznaczenie stajemy) 38

Z oddalenia 39

- *** (Pomimo to) 41
- *** (Oglądacie mnie jak eksponat) 42
- *** (W chwili obecnej) 43
- *** (Wbrew sobie wyzbyłem się nadziei – ja) 44
- *** (Popatrz – idziemy tam) 45
- *** (Krzyk dzikich gęsi na szlaku nieba) 46
- *** (Na powrót to zawirowanie nadchodzi) 47
- *** (Prawdę mówiąc) 48
- *** (Są, niekiedy chwile – mój Boże mój Panie) 49
- *** (To jeszcze jedna prosta kompozycja) 50
- *** (Sen umyka od powiek po początek świtu) 51
- *** (Nie potrafię się modlić jak mnie nauczono) 52
- *** (Spokojnie spokojnie) 53
- *** (Dla mnie Bóg naprawdę zmarł w Jeruzalem) 54
- *** (Zbudowani powierzchownością struktur) 55
- *** (Pamiętam jak śniłaś sny niewydarzone) 56
- *** (W imię spowiedzi sumienia) 57

Tak sobie 59

- *** (Podobnie jak moje marzenia) 61
- *** (Jakże byłem szczęśliwy) 62
- *** (Kiedy byłem mały księżyc biegł) 63
- *** (Tamtej nocy ciernie wbijały się w palce) 64
- *** (Spoglądał na mnie uważnie...) 65
- *** (W sadzie w którym drzewko konarami) 66
- *** (Powraca do mnie) 67
- *** (Wydaje się że pojąłem) 68
- *** (Tak długo istnieję jedynie w pytaniu -) 69

Sobie 71

- *** (W tej chwili niepokoju) 73
- *** (Bezsensowne to klękanie w kościołach) 74

- *** (W lepkiej kropli szaleństwa - uwiązany) 75
- *** (Twarz dziecka z ekranu telewizora - chudość) 76
- *** (Po prostu zmęczenie - ta sama twarz w lustrze) 78
- *** (Szukałem zawsze) 79
- *** (Tak dobrze odpocząć na pobrzeżu drogi) 80
- *** (W obecnym zwątpieniu pytam - dlaczego) 81
- *** (Tak mozolnie tworzę własny krzyk lub śmiech) 83
- *** (kiedy pomieszało mi rozum) 84
- *** (W tej burzy widziałem kota) 86

Posłowie - Eugeniusz Sulborski 87

Fragment recenzji Jana Leńczuka 89

Jankowski
Z oddalenia Eo



102313